Nr. 41 Rok 3 Kraków, dnia 11 października 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



„TAM W DOLE LEŻY CZARNY STAW"

WSPINACZKA NA GRANI FAJEK

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

Fot. Ilustrowany Kurjer Polski

TYGODNIK



WŚRÓD WIECZNYCH LODÓW KAUKAZU

Na ilustracji naszej widzimy strzelców górskich na posterunku obserwacyjnym położonym na wysokości 5 000 m wśród niebotycznych gór, w krainie lodowców Kaukazu. Są to ci sami żołnierze, którzy w ciągu kilku tygodni, wśród niewypowiedzianych trudów i twardych walk, przeszli wszelkie strefy klimatyczne i zmiany terenu: od rosyjskiego stepu, aż do pokrytych lodem, sięgających 5 tysięcy metrów wysokości, wierzchołków górskich.



W kole na prawo:

SZCZĘŚLIWY POWRÓT DO SWOICH MIMO USZKODZENIA SAMOLOTU

Granat sowiecki wyrwał tak wielką dziurę w skrzydle niemieckiego samolotu, że swobodnie mógłby przez nią przejść mężczyzna. Pilot tego samolotu, odznaczony Rycerskim Krzyżem Walecznych, po przybyciu na macierzyste lotnisko, ogląda uszkodzenia.

Na lewo:

ZESTRZELENIE SOWIECKIEGO SAMOLOTU PRZY POMOCY RĘCZNEGO KARABINU MASZYNOWEGO

Nie należy do rzadkości w tej wojnie zestrzeliwanie sowieckich nurkowców z karabinów maszynowych. Nasza ilustracja przedstawia niemieckiego żołnierza piechoty, który w czasie walk na wschodzie, zestrzelił swym karabinem maszynowym samolot nieprzyjacielski. Żołnierz ten dokonał swego czynu oparłszy broń na ramieniu jednego z kolegów, nie zważając na gęste strzały siane dokoła z samolotów nieprzyjacielskich.

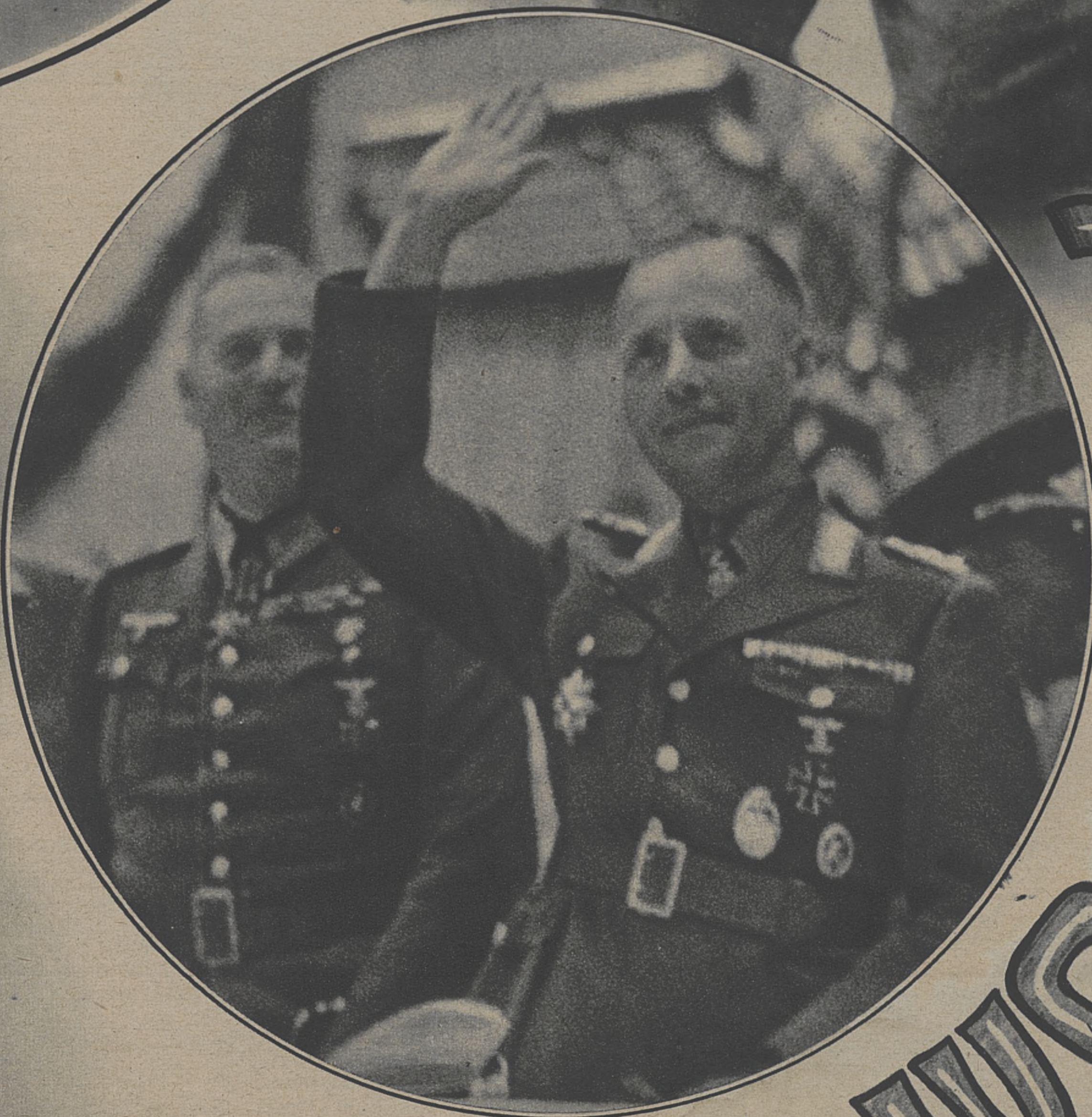
Fot.: Scherl 2
Weltbild 1
P. B. Z. 2



WOJOWNIK SPOD STALINGRADU
Osmolony sadzą i pokryty grubą warstwą pyłu ze zburzonych domów tego miasta ruin, z granatem ręcznym i rewolwerem w ręku: oto obraz niemieckiego żołnierza piechoty, na którego barkach spoczywa punkt ciężkości tej potężnej bitwy, ciągnącej się tygodniami wśród zaciekłych walk ulicznych.



W kole na prawo:
MARSZAŁEK POLNY GENERAŁ ROMMEL, NACZELNY DOWÓDCA KORPUSU NIEMIECKIEGO W AFRYCE
przybył do Berlina na zaproszenie Führera z okazji inauguracji dorocznej socjalnej akcji pomocy zimowej i przemawiał wobec przedstawicieli prasy niemieckiej i zagranicznej na temat swych walk w Afryce. Obok: marszałek polny, generał Keitel.

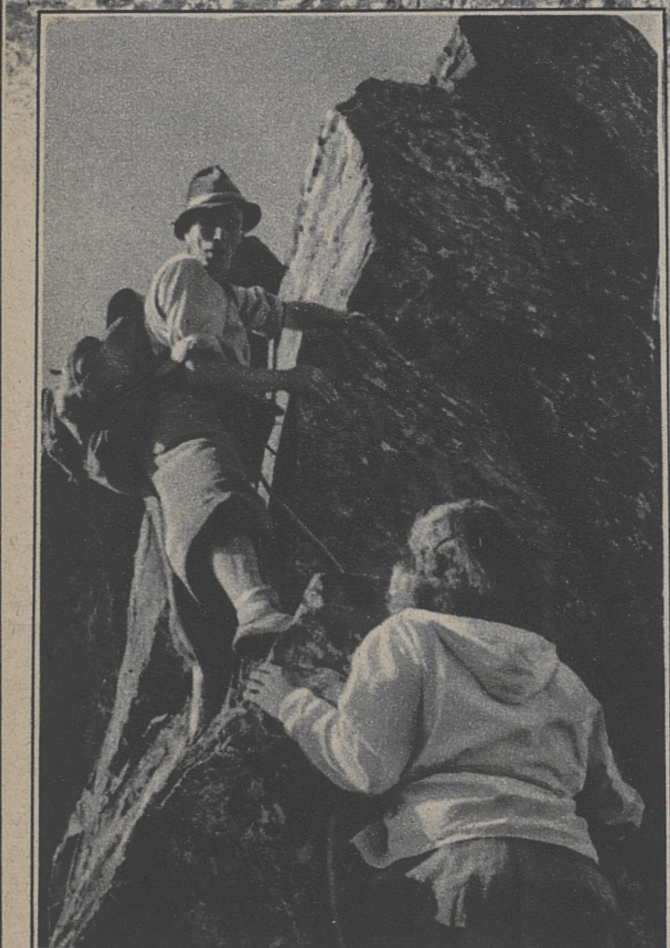


WOJENNY

WSPINACZKA PO TATRZAŃSKIEJ GRANI

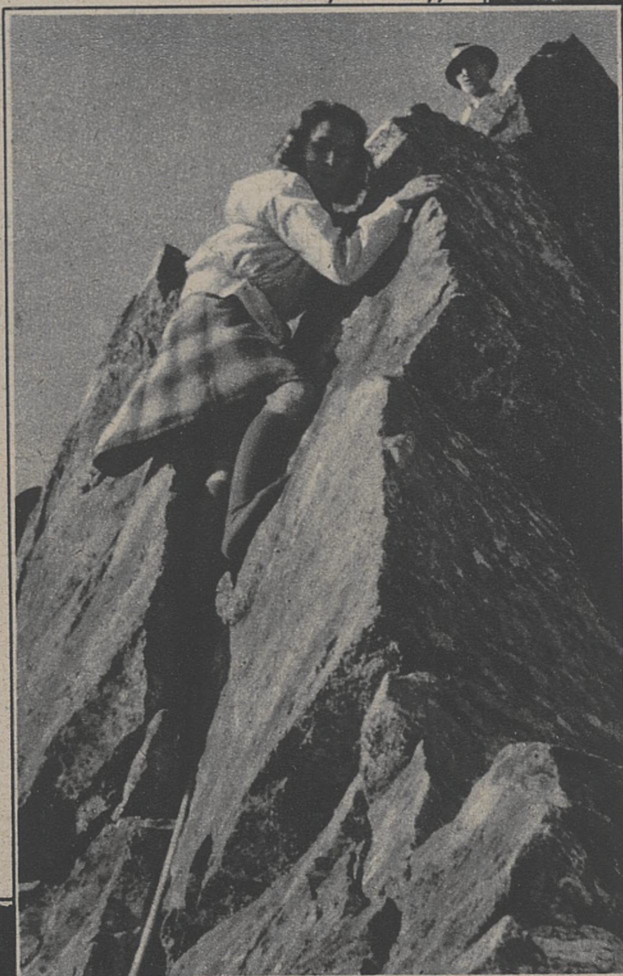
PRZYGOTOWANIE DO WYMARSZU
Wiąże się liny; przewodnik zakłada na pasie karabinek i hak, górskie buty zamienia na trzewiczki skalne ze sznurową podeszwą. Zosia woli pończoszki i szkocką spódniczkę, co dozwolone jest przez fachowców tylko na wspinaczkach mniej uciążliwych.

W KRAINIE CZARNEGO STAWU
Zdjęcie zrobione z lotu ptaka odkrywa przed nami zrąbek czarownej baśni Tatr i jednego z jej zdobywców.



PIERWSZY KROK NA KONIA SKALNEGO
Przewodnik wchodząc ubezpiecza swoją towarzyszkę i udziela jej najważniejszych wskazówek co do dalszej wspinaczki.

PRZED NOWĄ PRZESZKODĄ
Jak kleszcz wpija się przewodnik rękami i nogami w grań, która w tym miejscu rozpłaszczyła się i przekształciła w wygładzoną ścianę, co daje dużo nowych emocyj.



Fot. Ilustrowany Kurjer Polski

POD SKAŁY
Uroczy i wielostronny był krajobraz od Hali Gąsienicowej poprzez Czarny Staw. Już są u celu, t. j. na miejscu rozpoczęcia wspinaczki.

WZDŁUŻ RYSY
Pierwszy zrąb został przez przewodnika zdobyty. Z kolei wchodzi Zosia, wykorzystując każdą nierówność skalną, a za nią prześladowca z obiektywem I. K. P.





Jest jedna dziedzina sportu mało stosunkowo znana szerszemu ogółowi: dziedziną tą jest wspinaczka wysokogórska — taternictwo, najwyższy wykwit turystyki w górach wysokich. Ten sport uprawiany przez niewielki stosunkowo zastęp ludzi rozmiłowanych w pięknie zaczarowanego świata gór i emocjach niebezpieczeństw, jakie im on dać może, należy do najpiękniejszych ale zarazem i do najtrudniejszych.

Wielogodzinne, a czasem i parudniowe wyprawy taternickie wymagają nielada sprawności i kwalifikacji. Drogą, po której idzie wspinacz-taternik ku szczytom jest bezdroże; im większa jego przepaścistość, im większe nasuwają się trudności, tym większe przeżywa emocje w ich pokonywaniu. Posługując się liną, którą wiążą się uczestnicy wspinaczki, używając specjalnych, długich haków stalowych, które w celu zabezpieczenia wbija się w szczeliny i pęknięcia

Dokończenie na str. 9-tej

NA

FAJKI!



„UWAGA, NIE MARZYĆI"

Zosia zabezpiecza swojego towarzysza; ufna w jego doświadczenie taternicze zdaje się nie doceniać niebezpieczeństwa choćby nieznacznego uchybienia.



ZOSIA W OPAŁACH

Choć minka trochę zalękniona, Zosia z wielką odwagą i przytomnością umysłu trawersuje najniebezpieczniejsze miejsce na Fajkach.



ZJAZD NA LINIE

Podczas gdy Zosia znajduje się już w bezpiecznym miejscu, przewodnik, stary wyga tatrzański, zjeżdża wolno w powietrzu. Zjazd udał się. Widzimy to na zdjęciu obok.

PORTRET NA SZKLE

Na prawo: Wkładanie kawałków szkła do odpowiedniego p i e c a w c e l u stopienia farb ze szkłem.



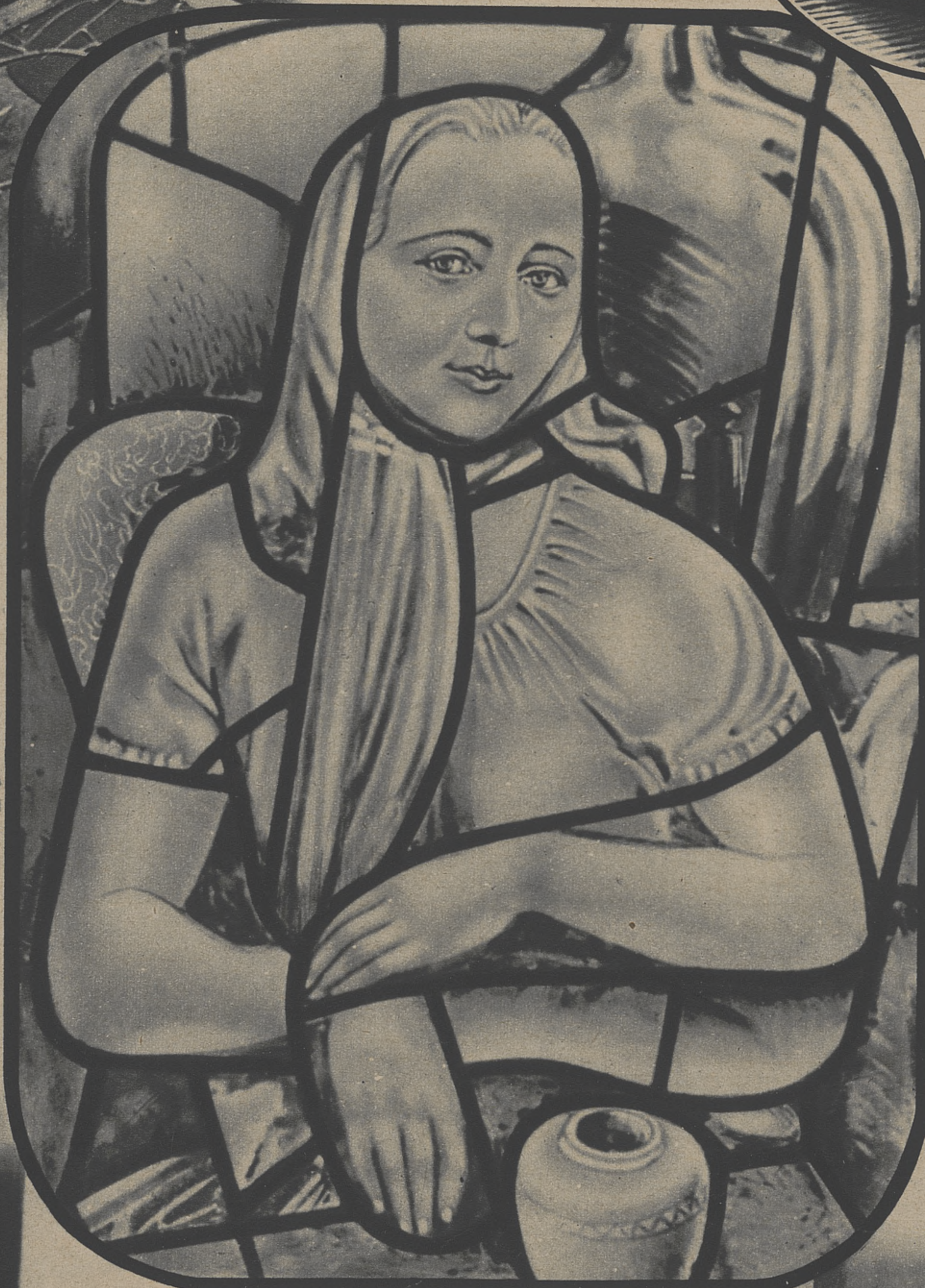
Fot: Tschira 3
Borek 2

Montowanie witrażu. Wypalone kawałki szkła składa się podług wzoru wymalowanego na tekturze łącząc je precyzyjnie przy pomocy ołowianych ramek. Praca ta wymaga wielkiego doświadczenia i wiadomości fachowych.

Mieniąc się tysiącem barw, lśni słońce na szybach gotyckich katedr i romańskich kościołów. Przez oprawne w ołów szyby pałaców dawnych patrycjuszów przedziera się przytłumione światło i barwnymi plamami kładzie się na stylowych meblach i wzorzystych kobiercach średniowiecznych wielmoży.

Na wieki średnie bowiem, przypada największy rozkwit sztuki malowania na szkle. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej doskonałego od olbrzymich tumów gotyckich, których obrazy malowane na szkle i witraże pod względem świetności i harmonii barw czynią jak najwspanialsze wrażenie dekoracyjne.

Używano dwojakiego rodzaju kompozycji: jeden starszy polegał na tym, że rysowano figury jedną obok drugiej niby posągi, — drugi wyobrażał sceny z biblii lub legend. Tak pierwszy jak i drugi układ otoczony był tłem wzorzystym, które wyrazistość postaci podnosiło.



Mieniąc się w promieniach światła, spogląda ku nam lekko stylizowany portret dziewczyny, którego barwy zmieniają się zależnie od oświetlenia i wyczarowują wciąż nowe efekty. Nieregularna oprawa poszczególnych części obrazu podkreśla celowo zarysy postaci.

Malarstwo na szkle jest istotnym malarstwem gotyckim. Rozwój jego bez powstania tego stylu w architekturze byłby niezrozumiały. Olbrzymie masy murów umożliwiły wprowadzenie okien wielkich, ustrój zaś tych ostatnich stworzył dla malarza podstawę do układu jego obrazów. Z chwilą, gdy skończyło się panowanie architektury gotyckiej, — malarstwo na szkle jako gałąź sztuki monumentalnej, straciło rację bytu.

W okresie renesansu odżyło ono na nowo, pod względem jednak stylu i kształtu, utwory jego pozostają w ścisłym związku z okresem minionym. W ostatnich czasach, gdy nowoczesna architektura wnętrz, wiele gałęzi dawnego przemysłu artystycznego znów powołała do życia, wraca też i moda malowania na szkle, a ma przy tym do dyspozycji wiele nowych zdobyczy chemii i wynalazków.

Podstawą techniki malowania na szkle jest system praktykowany w mozaikach. Poszczególne kawałki szkła, wycięte podług pewnej formy u j m u j e się w ołów i łączy z sobą. Technika ta rozwijała się stopniowo; liczba barw używanych przy malowaniu w i t r a ż y wzrastała z biegiem lat, rysunek stawał się coraz lepszy. Znaczny postęp wywołało wynalezienie w XIV w., sposobu stapiania podwójnych płyt kolorowych. Sposób ten pozwalał nadawać płycie s z k l a n e j odcienie, oraz wydobywać kontrasty.

Dzisiejsza technika poszła jeszcze dalej. Sam portret, czy obraz m a l u j e się na miękkim szkle, by możliwie najwięcej barw można było zastosować i móc wywołać najbardziej naturalne wrażenie. Bardzo często nakłada się farby z obu stron, by obraz wystąpił plastyczniej. Gatunek farb jest rzeczą podstawową dla malowania na szkle. Szkic sporządza się według modelu najpierw na tekturze, a potem na białym szkle, na które następnie nakłada się farby. Poszczególne części obrazu tnie się potem diamentem. Z kolei kawałki te wkłada się do specjalnie w tym celu skonstruowanego pieca, by je wypalić. W piecu uzyskuje się tak wysoką temperaturę, że następuje stopienie farb ze szkłem. Wypalone kawałki szkła zestawia się z sobą i montuje przy pomocy odpowiednio przyciętych ram z ołowiu. Wreszcie obraz jest gotów.

I podobnie jak w średniowiecznych zamczyskach, również w wielu dzisiejszych lokalach rozrywkowych światło przedzierające się przez barwne szyby nadaje wnętrzom nastrojowe oświetlenie.

Poniżej:
Na białym matowym szkle, maluje się poszczególne części o b r a z u, wzorując się na szkicu.



Poniżej:
Dziewczyna p r a g n ą c mieć piękny portret udała się tym razem nie do fotografa — lecz do malarza-witrażysty, u którego pozuje.



DZIWAK

NOWELA — NAPISAŁ B. BROTYCZ

Pan Kalikst uchodził za dziwaka w kamienicy pełnej różnego sortymentu lokatorów. Najwięcej interesowali się nim mieszkańcy czteropiętrowych oficyn, w których zajmował ten stary kawaler dwa małe pokoje z kuchenką na drugim piętrze. Dlaczego mieli o nim takie mniemanie — nie wiadomo, gdyż cichy ten człowiek nikomu wody nie zamącił. Chyba dlatego, że unikając ludzi, nie wdawał się z sąsiadami w rozmowy, że nie interesowały go kamieniczne plotki, ani też podstarzałe paniusie, zerkające czasami na niego zalotnie. Spokojny tryb życia jaki prowadził pan Kalikst nie byłby dał powodu do nazywania go dziwakiem, gdyby nie długi jęzor gospodyni, kucharki, i pokojowej w jednej osobie, starej Balbiny, która nieraz w przystępie rozżalenia opowiadała kumoszkom z oficyn historie o różnych grymasach i sekaturach jej pana. W spisie lokatorów figurował pan Kalikst Wrzencionowski jako emer. profesor nauk przyrodniczych. Prócz tego zajmował się z amatorstwa chemią, filozofią, oraz czytaniem dzieł różnych gałęzi sztuk i nauki. Niskiego wzrostu, szczupły, lekko pochylony, o twarzy porosłej siwą bródką, idąc patrzył przez okulary rogowe zawsze przed siebie zamyślony, jak gdyby go cały świat nic nie obchodził. Mieszkając w sąsiedztwie pana profesora, intrygowała mnie zawsze ciekawa postać jego i doprawdy szczerze pragnąłem zawrzeć znajomość z tym oryginałem. Z widzenia znaliśmy się dobrze, spotykając się często jako sąsiedzi na schodach, lub korytarzu kamienicy, dla mnie to jednak było za mało.

Aż raz w niedzielę, wracając około dziesiątej wieczorem do domu, zastałem zafrasowaną Balbinę siedzącą na schodach, a pana Kaliksta stojącego b e z r a d n i e przy drzwiach jego mieszkania. Ucieszony w duchu z nadarzającej się sposobności, od razu przystąpiłem do niego z zapytaniem, co też się stało?

— Hano! zgubiłem klucz i nie mogę dostać się teraz do mieszkania — odrzekł strapiony profesor.

— Ładny interes! — odburkła Balbina ze schodów — Dziś niedziela, szukaj diable teraz ślusarza. Z panem to tak zawsze! Gdzie teraz spać? na schodach?

— Cicho bądź głupia — Diogenes spał w beczce całe życie i był zadowolony, rozumiesz! — rzekł profesor z udaną powagą.

— A może moim kluczem dałoby się otworzyć drzwi? Spróbujemy — to powiedziawszy włożyłem klucz do otworu zatrzasku. Nacisnąłem i drzwi otwarły się.

— Ha, sytuacja uratowana! — zawołał profesor uradowany — Balbino! nie będziesz spała na schodach. Dziękuję uprzejmie panu za szczęśliwy pomysł — to mówiąc uścisnął mi dłoń. Wpatrując się we mnie dodał niezmiało: — a może... może odwiedzi mnie pan przy tej miłej sposobności i nie pogardzi wojenną herbatką! Co? — zaproponował pan Kalikst.

Zaproszenie przyjąłem chętnie, zaciekawiony jak też wygląda mieszkanie naszego dziwaka.

W pokoju po zaświeceniu lampy zobaczyłem olbrzymi stół stojący na środku, zarzucony książkami, skryptami. Obok stał mikroskop, jakieś probówki, słoje z preparatami, i wiele drobiazgów rozrzuconych po stole. Pod ścianą rozparła się dość pokaźna, oszklona biblioteczka, pełna książek i tomów bogato oprawnych. Pod oknem biurko zawalone różnymi książkami. Brązowy na nim kałamarz i symetrycznie przy nim ułożone przybory do pisania.

— Niechże pan siada — zwrócił się gospodarz domu do mnie podając pudełko papierosów. — Ciekawe doprawdy, gdzie zgubiłem klucz?

W tym momencie oglądając wnętrze pokoju zobaczyłem klucz jakiś leżący skromnie na krawędzi biurka.

— A ten kluczyk, który tam leży? — zapytałem wskazując na biurko.

Spojrzawszy chwilę spod okularów na wskazane miejsce zerwał się uradowany pan Kalikst i jakby zawstydzony zawołał:

— Ależ to mój klucz! Nie, doprawdy... A byłbym przysiągł, że wziąłem go ze sobą. Balbina! Jesteśmy uratowani! Klucz się znalazł! — powiedział do wchodzącej Balbiny.

— Gdzież się znalazł? W kieszeni?

— Diabła tam w kieszeni! Ot, leży na biurku, — zatrzasnąłem drzwi bez klucza.

— Gdybym to ja tak zrobiła, co by to było gadania, ho! ho! — odrzekła z triumfem Balbina.

— No, no, nie gderaj i przynieś nam herbaty.

Po odejściu służącej, rozsiadł się profesor w fotelu, chwilę zasępił się, a potem zaczął:

— Tak, tak, to moje wieczne roztargnienie. Widzi pan. Pod tym względem stoimy o wiele niżej od płazów czy zwierząt.

— Czy dlatego, że nie potrzebują pamiętać o kluczach swoich mieszkań? — zapytałem z uśmiechem.

— Nie to. Tylko, że żadne zwierzę, czy ptak, nie czyni nic bezmyślnie. Wszystko, co dyktuje mu jego instynkt wykonuje precyzyjnie, i nigdy o niczym nie zapomni. Weźmy na przykład bociana, jaskółkę czy innego przelotnego ptaka. Odlatuje w kraje podzwrotnikowe od nas, a po kilku miesiącach pamięta doskonale, gdzie miał swoje gniazdo i wprost z podróży przylatuje na swoje dawne miejsce. Widział pan zapewne nieraz miodne komórki woskowe pszczół. Z jaką dokładnością geometryczną są one zbudowane. Nie znajdzie pan tam śladu pomyłki czy też roztargnienia. Wymiar każdej komórki jest najdokładniej obliczony, a wzajemnie są one do siebie dopasowane na setną część milimetra.

— Bezsprzecznie, panie profesorze, ale geniusz ludzki, który wynalazł maszyny parowe, zapałki, elektryczność, gramofony, radio, samoloty, na takie wyczyny najczulszy nawet instynkt ptaka, owadu czy zwierzęcia nie zdobędzie się nigdy.

— Nie zdobędzie się bo nie odczuwa potrzeby, maszyny ma w skrzydłach, światło w słońcu, a muzykę prześliczną w lesie. Słyszał pan zapewne nieraz ptasi koncert w maju. To ich radio.

— A owe olbrzymy panie profesorze, drapacze chmur, piramidy wieki trwające, przepiękne zamki stare, jakby przylepione do skalnych niebotycznych gór, koronkowe arkady Alhambry, czyż nie są to dzieła naszego geniusza?

— He, he — zaskrzeczał pan Kalikst — no tak, racja. Ale teraz małe pytanie: ile też zużyto na te dzieła sztuki budowlanej materiału, rusztowań, wind, kramów? Ilu inżynierów łamało sobie głowy nad obliczeniami, wykresami, szkicami, by to wszystko nie runęło kiedyś ludziom na łeb? Gdy tymczasem poczciwe, małe mrówki, termity swoje wieżyce, czy labirynty budują precyzyjnie tylko siłą swych pyszczków i nóżek, nie używając do tego żadnych narzędzi. Podobnie bobry tworzą swoje domki z krużgankami pod wodą, budując je z drobnych patyczków tak mocno, że nieraz zły człowiek zburzyć je zdoła z trudem. Tam każde z nich jest budowniczym, inżynierem. My do takich celów musimy mieć specjalistów.

— Bo nasza organizacja życiowa jest przecież zupełnie odmienna.

— Nie panie, tylko dlatego, że jesteśmy z urodzenia niedołęgi. A fizyczna konstrukcja człowieka? —

— Jest ogromna, potrafi przenosić głazy z miejsca na miejsce, dźwigać ciężary — zaznaczyłem przekonywująco.

— Tak, potrafi, ale przy pomocy narzędzi, dźwigni, kilofów. Widział pan kiedy mrówkę jak wspina się na swe kopce ciągnąc sto razy od niej większe patyczki? A ten silny, mocarny człowiek, przy lada upadku, pośliznięciu się na głupiej podłodze, łamie sobie gnaty. Rzuć pan chrząszcza z trzeciego piętra i człowieka, zobaczymy jak obaj będą wyglądali.

— Człowiek gatunkowo jest cięższy od chrząszcza — odpowiedziałem.

— Odpowiednio też gatunkowo ciężki jest dla siebie chrząszczyk, tylko że owad ten ma twardą powłokę, a człek flaki. Ten pierwszy odleci po upadku wesoło, a po człowieka zajedzie trupiarka.

— Czyli, że lepiej być chrząszczem, zdaniem pana profesora?

— Bezwarunkowo! i to pod każdym względem.

— Mimo to nie chciałbym być chrząszczem, którego rozdziobie lada wróbel — odrzekłem.

— Pana dziobnąć może spadający gzymsik z kamienicy. Innego znów garstka dynamitu rozsarpie na strzępy. Niewinna kulka ołowiana, lub krótkie elektryczne spięcie, albo też malutka doza cyjankali, wszystko wystarczy, aby uśmiercić najsilniejszego nawet człowieka.

— Tak, tak, wyrzekł zamyślony profesor. — To ów geniusz ludzki, o którym pan wspomniał, wysilił swe mózgi nad wynalazkami tak zwanego „uszczęśliwienia ludzkości".

— Przyzna jednak pan profesor, że elektryczność jest epokowym wynalazkiem, bez którego...

— Bez którego żyli ludzie całe wieki i dobrze było na świecie. — Przyznam się, że często żałuję, iż nie żyłem w czasach pierwotnych — zaznaczył pan Kalikst uśmiechając się blado.

Dysputę naszą przerwała Balbina stawiając przed nami filiżanki gorącej herbaty i domowej roboty ciasteczka.

— Naturalnie... łyżeczki jak zwykle znów tkwią w herbacie — zauważył poirytowany pan Kalikst. — Pantarkę już bym nauczył do tego czasu.

— Ojej, na śmierć zapomniałam — wyszeptała zalękniona Balbina.

— Widzi pan... zapomniała!...

— Eh! Czyż to nie wszystko jedno, czy łyżeczka jest w herbacie czy na spodku? — wyrzekła odchodząc urażona gospodyni.

— U niej zawsze „wszystko jedno"!... głupi babsztyl! Proszę, niechże pan sprobuje tych jej gnieciuchów. Zastrzegam się jednak, że za skutki, nie biorę odpowiedzialności — zwrócił się do mnie profesor podając mi talerzyk z ciastami.

— W takim razie może lepiej nie próbować? — zapytałem śmiejąc się.

— Eh, nie, żartowałem. Na tym to ona zna się już dobrze, ale poza tym głupia jak stołowe nogi. Może jest to pewne dziwactwo z mej strony — ciągnął dalej profesor, ale nie znoszę podanej herbaty z tkwiącą w niej łyżeczką i to od czasu, gdy włożyła mi raz przez roztargnienie nieomytą i brudną po jakimś sosie. Ale u niej zawsze na języku to jej: **„wszystko jedno"**. Jeżeli mam łyżeczkę na talerzyku, widzę czy jest czysta czy brudna, prawda?

— Biedusia stara, nie zastanawia się nad tym problemem...

— Ależ nie... wedle niej, **„to wszystko jedno"**. **Jestem** systematyk i pedantycznie lubię mieć każdą rzecz na swoim miejscu — mówił w dalszym ciągu profesor. — Atrament, i pióra, z prawej strony, nóż chiński do rozcinania kartek z lewej. Książki podręczne, encyklopedie tak ułożone, aby bez straty czasu na szukaniny mieć je zawsze pod ręką. Nie zdarzyło mi się, aby po sprzątnięciu pokoju przez tego mandryla, leżało wszystko jak sobie życzyłem. Kałamarz stał zawsze z reguły po lewej, nóż położyła po prawej ręce. Książki znów gdzie indziej. I tak było dzień w dzień. Na moją interwencję w tej mierze usłyszałem za każdym razem jednakową odpowiedź.

— To wszystko jedno — dokończyłem ubawiony.

— Właśnie, zgadł pan. Ale zbyt długo byłem cierpliwy, aby więc oduczyć ją tego niedbalstwa, wie pan, co zrobiłem?

— Bardzo jestem ciekawy.

— Oto raz pod jej nieobecność poszedłem do jej pokoiku i kuchni i wszystkie znajdujące się tam graty poprzestawiałem po różnych miejscach i stronach.

— Kapitalne!

— Kuchenne naczynia porozwieszałem w pokoju nad jej łóżkiem, święte jej obrazki umieściłem w kuchni w miejsce rondli. Łóżko przesunąłem pod przeciwną ścianę, słowem przemeblowałem całe urządzenie dokumentnie.

— I cóż na to Balbina? — spytałem rozbawiony.

— Wpadła jak furia: — Któż to tak wszystko poprzewracał? — zapytała. — No, ja — odpowiedziałem spokojnie. — Spojrzała na mnie spode łba i mruknęła: — Łóżko przestawione i wszystkie naczynia z kuchni wniósł pan profesor do pokoju. Krzesła do góry nogami stoją jak wariaty! do czego to podobne! — O cóż ci chodzi Balbino? — zapytałem — przecież to wszystko jedno jak, i gdzie stoją twoje rzeczy. — Nic nie odpowiedziawszy wyszła obrażona z pokoju.

— Widocznie zrozumiała manewr pana profesora.

— Prawdopodobnie, gdyż od tego czasu mam spokój. Każda rzecz leży odtąd na właściwym miejscu — zakończył chytrze uśmiechnięty profesor.

Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego pan Kalikst uchodził w kamienicy za dziwaka.

Północ już dochodziła gdy opuściłem progi gościnnego profesora.

DETEKTYW SCOTLAND JARDU

HUMORESKA

W Boltonie zaszumiało i zaroiło się pewnego dnia jak w ulu. A cóż się to stało? Oto szanowany powszechnie stary lord Pumpernikel został zamordowany. Zamordowany na śmierć oczywistą. Ludziska oniemieli wprost z przerażenia. Kiwali rękami i głowami. Ki licho? Kto i co chciał od staruszka?

Urodziwy bratanek lorda Adonell wezwał lekarza Fuchera.

— Mojemu biednemu stryjowi coś się stało — rzekł do eskulapa — sam nie wiem co.

Fucher długo i sumiennie badał szanowne zwłoki i zawyrokował ostatecznie i bezapelacyjnie smutnym głosem, że lord „został zastrzelony". Bo przyznać należy, że Fucher był pierwszorzędnym lekarzem i cieszył się jak najlepszą opinią. Już niejednego pacjenta zdołał gładko wysłać do wiecznej szczęśliwości.

— Kto strzelałby do mego czcigodnego stryjaszka? — to niemożliwe. Cały czas byłem przecież przy nim — dziwił się niepomiernie piękny Adonell.

— Jeżeli tak, ocenił szybko sytuację Fucher, to nikt inny, tylko ty, panie bratanku, jesteś lordowskim mordercą. To przecież jasne. Wzywam natychmiast pierwszego detektywa Scotland Jardu imci pana inspektora Sharlatana...

Inspektor przybył natychmiast. Zapewne samolotem...

Tymczasem piękny Adonell leżał poetycznie na kanapie, na którą osunął się w momencie, kiedy Fucher wykrył jego potworną zbrodnię. Pierwszy detektyw badał podobnie jak eskulap Fucher zwłoki lordowskie uważnie i długo, ale snać nie był pewien przyczyny śmierci, bo zapytał:

— Czy pan, panie doktorze, jest pewien, że lord nie umarł śmiercią naturalną?

— Ręczę za fakt śmierci z broni palnej — brzmiała odpowiedź doktora.

Inspektor Sharlatan zanotował to sobie dokładnie w notesiku, który schował starannie do wewnętrznej kieszeni surduta. Uważał bowiem, że notowanie zasadniczych faktów prowadzi do świetnych wyników w śledztwie.

Zwrócił się następnie wielki detektyw do pięknego Adonella, który przyszedł do siebie i stał na uboczu z głową zwieszoną i zapytał:

— Czy pan podejrzewa kogoś?

— Owszem, podejrzewam.

— Kogo?

— Moją kochankę.

— O co?

— Że mnie zdradza.

Sharlatan zanotował to sobie, a potem rzekł:

— Wszystko jest możebne, ale czy nie podejrzewa pan kogoś o popełnienie tego mordu?

— Nie podejrzewam, tylko wiem dokładnie. Patrzyłem na to, jak pan doktor Fucher mordował stryja — brzmiała straszna odpowiedź.

Nie w ciemię bity jednak eskulap odrzekł w jednej chwili:

— Głupie gadanie, koń by się śmiał z niego. Jasnym jest jak słońce, że lorda nie mógł zamordować kto inny, jak tylko jego bratanek. Z kieszeni wystaje mu przecież lufa rewolweru. Chciał przyspieszyć odziedziczenie ogromnego majątku po bezdzietnym stryju.

Ostatnie zdanie inspektor zanotował sobie, po czym zabrawszy rewolwer z kieszeni Adonella jako corpus delicti, powiedział:

— Obaj panowie jesteście silnie podejrzani, jednak już z góry mogę powiedzieć — niewinni. Rozczytuję się rano i wieczorem w znakomitych powieściach kryminalnych Edgara Wallace i temu zawdzięczam moją sławę i popularność. Światły ten autor udowadnia przecież, że ludzie podejrzani są niewinni. Będę więc szukał człowieka cichego, potulnego i czystego jak kryształ, bo on będzie zapewne mordercą.

Na odchodnym zapytał jeszcze:

— A co robi służba lorda?

— Służba została dzisiaj jako w dzień świąteczny od zajęć przez lorda zwolniona, a w domu została tylko stara, niedojdowata i całkiem sparaliżowana kucharka, wyrecytował Adonell.

— Pięknie się składa, mam ślad oczywisty i prowadzący prościutko do celu — warknął Sharlatan — po czym zanotował to sobie i opuścił pałac lordowski.

Udał się wprost do swego biurka i zamknąwszy się na klucz, jął rozważać okoliczności sprawy. Chciał mieć jak najprędzej wyniki, wyniki pozytywne, oparte na podstawach ze stali. Tak przecież mówi Edgar Wallace, którego znam na pamięć — monologował — 389 tomów — ładna porcja!

Doktora i młodzika Adonella wykluczyć muszę ze swoich rozważań, ponieważ tak czy tak okazałoby się w końcu, że są niewinni. A zatem trzeba szukać gdzie indziej sprawcy mordu. Zastanawia mnie tylko, dlaczego lord Pumpernikel rozpuścił w dzień swej śmierci swą służbę, a został jedynie z głuchą i ślepą kucharką. Czy chciał być zabity? To jest pierwszy słaby punkt. Drugim słabym punktem całej sprawy jest osoba sprawcy.

Zanotował to sobie i zaczął się zastanawiać, czy też ktoś z jego dobrych znajomych nie nadawałby się na mordercę lorda.

— A może pastor Carlton, który lubi nadzwyczaj doborowe wina i jest prawie świętym? A może jego przystojna żonka, która go namiętnie zdradza z organistą?... Nie... W tych głębokich rozmyślaniach czoło szlachetnego inspektora okryło się gęstym potem, palił jedno cygaro za drugim...

— Mam go! — krzyknął wreszcie.

Z radości zerwał się z pięknego klubowego fotelu i zaczął biegać po pokoju.

— Mam łotra! Że ja też zaraz na to nie wpadłem Mordercą jest tylko znany finansista, pobożny Sheen, nikt inny. Siedział ze mną przecież w chwili zabicia lorda w restauracji „Harold" i ma znakomite alibi. Nie dość na tym. Nie znał wcale lorda i nie miał najmniejszego interesu w jego zamordowaniu. To mi już wystarcza...

I z rozkazu Sharlatana zaaresztowano finansistę, pobożnego Sheena. Na specjalną prośbę dopuścił go zaraz przed swe oblicze.

— Czyś się wściekł, człowieku — czyś spadł z osła? Przecież piliśmy obydwaj w restauracji, gdy lorda mordowano.

Jednak inspektor nie dał się zbić z tropu.

— Owszem, popijaliśmy, ale w ten chytry sposób chciałeś sobie wyrobić alibi. Mnie nie oszukasz. Dlatego cię, braciszku, zaaresztowałem. Dokonałeś zbrodni przy pomocy rewolweru znalezionego w kieszeni ubrania bratanka lorda, Adonella. A może nawet działałeś przez inną osobę. Zastanowię się nad tym...

Gdy za pobożnym Sheenem zamknęły się znowu drzwi więzienne, inspektor głowić się zaczął, kto mógł zabić lorda z namowy finansisty. Szukał i w głowie i w albumach. Wreszcie znalazł.

— Mam go już! To napewno on! Recydywista Brooklyn. Znam go przecież dobrze — mówił do siebie — w poniedziałek puszczono go z długoletniego więzienia. W niedzielę, a więc w przeddzień popełnił zbrodnię. Ma znakomite alibi. Pomagała mu zaś sparaliżowana kucharka. Ale zgrana szajka! Obydwoje zaraz zaaresztuję!...

I byłby dokonał aresztowania recydywisty Brooklyna i niedojdowatej kucharki, którzy pewnikiem zostaliby powieszeni, gdyby oto w końcu nie wyszło na jaw, że lord Pumpernikel cieszy się najlepszym zdrowiem.

I. W.

POZGONNA PRZYJACIÓŁKA

20 luty.

Po dwóch latach beznadziejnej miłości zaręczyłem się wreszcie z Haliną. Narzeczona moja jest artystką filmową, o subtelnej, fotogenicznej urodzie, posiada bezsprzecznie talent i jest najbardziej wszechstronną osóbką spośród przodujących gwiazdeczek (przyszłych gwiazd), doskonale jeździ konno, pływa świetnie, cudownie tańczy kariokę, a moją maszynę prowadzi z szybkością 120 km na godzinę bez zmrużenia oka. Co prawda jest trochę kapryśna i „robi się zagadkowa", lecz są to cechy prawie wszystkich artystek filmowych.

Dziś na przykład, w dniu tak uroczystym, nie objawia zupełnie radości. Przeciwnie, jest smutna i roztargniona. Lecz mniejsza o to. Będzie moją żoną...

Wieczorem urządziliśmy sobie małą ucztę zaręczynową. Nastrój był miły, stół cały tonął w kwiatach o silnym aromacie, wino było oszałamiające... Halina boska, a ja traciłem wprost głowę przy niej...

Przy uczcie była obecna serdeczna przyjaciółka Haliny. Takie sobie bez znaczenia stworzenie. Cień przy świetle... Tak niepozorna, że trudno ją było zauważyć.

— — — — — — — — — — —

25 luty.

Dziś Halina była bardziej przystępna i w dobrym humorze. Gawędziliśmy serdecznie. Rozmowa toczyła się na tle filmu „Błędny ognik", w którym Halina gra po raz pierwszy przodującą rolę i ma sposobność wykazania swojego talentu. Nad wyraz mile upłynął ten wieczór w jej zacisznym pokoiku, gdzie nam nikt nie przeszkadzał. Zdaje się, że zdołałem zbliżyć się do Haliny; jest już mniej zagadkowa i bardziej serdeczna. Ja zaś jestem zupełnie oczarowany. Przyjaciółka Haliny była znów obecna przez cały wieczór. Jest drobna, ma czarne duże oczy, krucze włosy i nieśmiałe obejście. Niemal nie zwraca się na nią uwagi.

— — — — — — — — — — —

29 luty.

Dziś nie zastałem Haliny w domu. W zastępstwie przyjęła mnie jej przyjaciółka, Małgosia. Milutkie dziewczątko. Rozważaliśmy kwestię, czy przyjaźń między kobietami jest w ogóle możliwa... Powiedziała mi:

— Przyjaźń jest uczuciem o wiele piękniejszym, aniżeli miłość. — Halina jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką i pragnę gorąco jej szczęścia. Pan musi mi przyrzec, że ją uszczęśliwi!

Przyrzekłem rozumie się, skwapliwie.

Małgosia uścisnęła mi dłoń w dowód wdzięczności i zatrzymała ją w swoich małych rączkach.

Wróciła Halina, cała rozpromieniona i opowiedziała mi wszystkie nowości i ploteczki w studio. Rozmawialiśmy potem o naszej przyszłości. Małgosia siedziała na boku i nie spuszczała nas z oczu. Ciekawe, że taka niepozorna istota może się tak przywiązać jak ta Małgosia do Haliny.

Mimo to mało zwracałem na nią uwagi.

— — — — — — — — — — —

7 marzec.

Coraz częściej rozmawiamy o naszym przyszłym małżeństwie. Naznaczyliśmy nawet termin ślubu na maj, chcielibyśmy bowiem podróż poślubną odbyć właśnie w maju. Cieszymy się już z tego powodu.

Wczoraj spotkałem Małgosię. Ogromnie miłe stworzenie. Przez całą drogę świergotała jak wróbel. Mówiła o swojej bezgranicznej przyjaźni dla Haliny, którą zachowa do śmierci. Jest przy tym bardzo dziecinna. Przy rozstaniu ujęła moją rękę i przytuliła do niej gorący policzek.

Ale nie zwróciłem na to uwagi.

— — — — — — — — — — —

13 marzec.

Dziś Halina była smutna i przygnębiona. Na moje serdeczne pytanie, co jej dolega, odpowiedziała szorstkim tonem:

— Nic mi nie jest! Zresztą ty i tak byś mnie nie zrozumiał...

Odpowiedź jej podrażniła moją ambicję. Nie mam pretensji do rozumu Kanta czy Schopenhauera, jednak mam tyle inteligencji, żeby zrozumieć młodą i niedoświadczoną adeptkę filmową. Toteż rozstaliśmy się w niezbyt przyjaznym nastroju. Na ulicy spotkałem Małgosię i opowiedziałem jej o wszystkim:

— Boję się, że pomiędzy wami nie będzie nigdy harmonii duchowej — rzekła. — Biedna Halina! Niech ją Bóg broni przed niestosownym małżeństwem. Błagam pana, proszę się dobrze nad tym zastanowić, póki klamka nie zapadnie...

Przy tych słowach zalała się łzami, tak, że musieliśmy się schronić do bramy, przed okiem ciekawych. Zarzuciła mi ręce na szyję, przytuliła policzek do mej twarzy i rzekła wzruszonym głosem:

— Halina jest moją najdroższą przyjaciółką na świecie. Drogi, kochany panie, obawiam się, że ją unieszczęśliwisz. Przysięgnij mi, że zerwiesz z nią. To jest konieczne dla jej szczęścia.

Mówiąc to pocałowała mnie gorąco.

Nie zwróciłem na jej słowa większej uwagi.

— — — — — — — — — — —

10 kwiecień.

Dziś Halina odesłała mi pierścionek bez jednego słowa pożegnania. Trudno, stało się. Wieczór spędziłem w restauracji. Nie mogłem usiedzieć w domu. Następnego ranka przyszła Małgosia żeby mnie pocieszyć. Wieczorem przy kolacji rzekła niespodziewanie głośno i spokojnie: — A więc sprawa jest jasna! Kochamy się. Po tym co zaszło, muszę zerwać z Haliną. Uwielbiam ją zawsze i nie mogłabym oszukiwać mojej jedynej przyjaciółki.

Istotnie zerwała z Haliną i to na zawsze. Musiało to być dla niej wielką ofiarą i poświęceniem, Halina bowiem była dla niej jedyną przyjaciółką i najdroższą istotą na świecie. Ile dobroci i uczciwości może się mieścić w tak nic nie znaczącym stworzeniu!

— — — — — — — — — — —

5 maj.

Małgosia została dziś moją żoną... Stało się to tak niepostrzeżenie, że niemal nie zwróciłem na to uwagi.

Kazimierz Laudan

Do uczestników IV. konkursu I. K. P.

Z powodu napływu wielkiej ilości odpowiedzi i z tym związanych trudności w przygotowaniu materiału i rozpatrzeniu przez Jury wszystkich nadesłanych rozwiązań — wyniki i rozwiązanie konkursu ukażą się w następnym numerze

Redakcja

Dokończenie ze strony 4-tej

skalne oraz innym jeszcze sprzętem wspinaczkowym, spędza taternik długie godziny wśród grozą przejmujących urwisk skalnych, zdobywając każdy metr wysokości, pokonywując ogromne nieraz trudności i niebezpieczeństwa.

Rozpiętość jednak pomiędzy trudnościami skalnych wspinaczek jest bardzo wielka: są takie, do pokonania których trzeba mieć istotnie nie lada kwalifikacje, są jednak i takie, które odbywane przy pięknej pogodzie nie nasuwają żadnych większych trudności, dają natomiast przemiłe emocje wędrówki orlą prawdziwie percią wśród załomów i iglic skalnych tatrzańskiej grani.

Wspinaczki graniami należą bodaj do najprzyjemniejszych. Jakże jest miło wędrować podniebnym szlakiem, kocimi ruchy przewijając się pomiędzy zębami grani, wykorzystując każde pęknięcie skalne, każdą skały nierówność, która stać się może nieocenionym w danej chwili chwytem czy stopniem. Na prawo i na lewo powietrzne głębiny, z dna których spozierają ku wędrowcowi swymi modrymi oczyma stawy tatrzańskie. Nie znajdujący w najbliższym sąsiedztwie żadnego oparcia wzrok, biegnie w dal ku rozsłonecznionym równinom, usianym mikroskopijnymi, wyglądającymi jak zabaweczki, domkami osiedli podgórskich. Toteż dostępniejsze, bliżej Zakopanego położone granie są często odwiedzane przez różnych wspinaczy, pomiędzy którymi nierzadkim zjawiskiem jest i kobieta-taterniczka.

— — — — — — — — — — —

Z okien mieszkania spoglądam co rano na Tatry. Co rano widzę ich poszarpany w misterną koronkę kontur grani, rozjaśniony blaskiem promieni wschodzącego słońca, lub okryty ciężkim ponurym płaszczem deszczowych chmur. Rozmiłowanym wzrokiem wodzę po przepaścistych zboczach widocznych a tak dobrze znanych mi szczytów i wspominam chwile wśród nich przebyte, przeżycia, które odeszły już w przeszłość, a które żyją jednak w duszy. Cisną się na pamięć wspomnienia przeróżnych wycieczek: w miłe, przepiękne, słoneczne dni lata czy zimy, lub w czasie deszczowej szarugi jesiennej lub mroźnej kurniawy.

A oto jedno z nich:

Schodziliśmy granią jednego z najhonorniejszych wierzchołków tatrzańskich. Wspinaczka nie była ani specjalnie trudna, ani zbyt łatwa, ot taka sobie zwykła tatrzańska grań. Wieczór już słał się w górach. Do przełęczy, z której prowadziło łatwe już zupełnie zejście ku dolinom, ku ludziom, pozostawał tylko jeden kilkunastometrowy uskok, który należało pokonać przy pomocy zjazdu na linie. Zanim dotarliśmy nad sam uskok było już prawie zupełnie ciemno.

Nie mało też kosztowało nas trudu wyszukanie w tych warunkach odpowiedniego bloku, który mógłby posłużyć do zaczepienia liny zjazdowej. Wreszcie po dłuższym czasie blok taki został znaleziony, lina nań zaczepiona i towarzyszka moja rozpoczęła zjazd. Ja pozostałem na górze ponad uskokiem. Już znajdowała się w połowie uskoku, gdy nagle posłyszałem złowrogi chrzęst — i ku najwyższemu swemu przerażeniu stwierdziłem, że blok, na którym została zaczepiona lina, został wyważony ze swego stanowiska, zdradzając niedwuznaczną ochotę runięcia w przepaść. Widocznie nie był on zupełnie pewny, czego w panującym mroku nie byliśmy w stanie zauważyć. Zdając sobie sprawę z tego, że gdyby blok runął, towarzyszka moja byłaby zgubiona bez ratunku — błyskawicznym ruchem rzuciłem się ku blokowi i z całych sił zaparłem się oń chcąc go utrzymać w miejscu. Mimo desperackiego po prostu wysiłku, czułem, że siły opuszczają mię i że lada chwila omdlałe ręce blok puszczą, a on zwali się w otchłań, pociągając za sobą życie ludzkie. Chwila była nader groźna. Sekundy zdały się przeciągać w nieskończoność... Wreszcie dobiegło mię z dołu wołanie, stwierdzające, że towarzyszka znajduje się już u stóp uskoku. Jeszcze chwila, która pozwoliła jej na ukrycie się w bezpiecznym miejscu pod przewieszoną skałą... Gwałtownie odskoczyłem w tył, puszczając równocześnie ów fatalny blok. Z piekielnym łoskotem zwalił się w dół, pociągając za sobą masę mniejszych odłamków skalnych i linę, która służyła do zjazdu. Nic to jednak: przygoda skończyła się pomyślnie...

Sporo czasu minęło, zanim zdołałem, klucząc wśród przestromych skał po omacku po prostu, dokonać obejścia uskoku.

Na przełęczy jeszcze trochę drżącą ręką ściskałem dłoń niedoszłej ofiary gór.

Prof. Z. Korosadowicz



Jeden z najlepszych w Warszawie duetów tanecznych: — Nowakówna i Kopiński.

Fot. Zajączkowski

ZE SCEN WARSZAWY

BOHEMA: „ALI BABA I... 40 ŻON"

Tym szczęśliwcem, o którym mówi tytuł rewii, jest kierownik artystyczno-literacki teatrzyku — K. Chrzanowski. On też zaznaje „rozkoszy" od swoich żon, których nie pozazdrościłby mu mężczyzna z największym temperamentem. Ale na harem nie wielu mężczyzn może sobie pozwolić — łatwiej natomiast odwiedzić cichy i przytulny „Pokoik na Wspólnej", w którym mieszka Skwierczyńska; nie młoda już niewiasta, a jeszcze cnotliwa. Po przygodzie jaka ją spotyka na nowym mieszkaniu (o tempora! o mores!) uczęszcza od czasu do czasu, do zakładu fryzjerskiego na „zabieg" ondulacyjny według recepty mistrza St. Strusia. Od elokwentnego fryzjera Waltera dowie się najnowszych wiadomości: co, gdzie, i kto z kim.

Struś się ceni i trzyma w cenie. Zanim odda skecz, piosenkę czy recytację obchodzi wszystkie teatrzyki warszawskie i pyta: „kto da więcej?" Skecz pod takim właśnie tytułem kupiła „Bohema" dla dyrektora Waltera, Chodakowskiej i Suchcickiego. Ten ostatni jest wprawdzie niedysponowany (choruje na amantomanię) ale mimo to gra i śpiewa (i wydaje się p. Suchcickiemu, że jeszcze jak śpiewa!).

Tadeusz Pękalski przygotował „Prezent imieninowy" — tani i lekkostrawny, który jak się okazało dobrze smakował zarówno aktorom jak i publiczności.

Podnoszenie nóżek Iny Ney na poziomie. L. Machan i Z. Jamry — miłe w swoich numerach śpiewno-tanecznych. Nowakówna i Kopiński to duet taneczny b. wysokiej klasy — zbiera codziennie zasłużone niemilknące brawa. Bas Kazimierza Poredy rozsadza ściany niewielkiej bohemiackiej sali.

W „KOMECIE": „BABIE LATO",

rozśpiewane i roztańczone fragmentem „Płaszczyka z Tyrolu" z Matówną, Krukowskim, Garbackim i baletem Marciniaka. Poza tym duet Lewandowskich w swoich wspaniałych tańcach. Kulturalny aktor T. Pilarski, N. Polakówna wszechstronnie utalentowana i miła, ujmująca swą bezpośredniością, Kryniczanka, Jezierska, Jakształ — oto nazwiska, które ściągają na Wolę wymagającą publiczność z dalekiego śródmieścia.

Naprawdę piękne dekoracje przygotowuje Galewski.

Z. Bakuła

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

SZUKAM SEKRETARKI

Dyrektor Jachimowski nie lubiał porządków. Uciekał przed sprzątaniem.

W domu były o to częste i gwałtowne starcia z pokojówką Staszką, mniej hałaśliwe i bardziej ugrzecznione z żoną. Dyrektora złościła wyświecona i niebezpiecznie przy tym śliska posadzka i posprzątane biurko. Wyprowadzał z równowagi dywan bez skazy, na który nie wolno było postąpić niewytartym obuwiem i ustawiczne ostrożności i poszanowanie dla śnieżnego obrusa.

Ale w domu nie miał głosu i mógł tylko zaciskać zęby w bezsilnej pasji. Bo w domu królowała młoda żona, energiczna, radząca sobie doskonale z bezmyślnym uporem Staszki, z lenistwem dozorcy domowego, no i z humorem małżonka.

W biurze natomiast było inaczej. W biurze dyrektor był panem sytuacji, władcą trzech apartamentów wraz z ich urządzeniem i trzema panienkami do maszyny spełniającymi bezwolnie, natychmiast każdy jego rozkaz, czy kaprys.

W pokoju dyrektora Jachimowskiego zabronione było sprzątać. Widać cieszyły dyrektorskie oczy wielkie pajęczyny po kątach i szare zacieki na szybach. Widocznie oprócz tlenu potrzeba mu było do oddechu antycznego, wiekowego kurzu ze starych, nigdy nie wietrzonych kilimów.

Nie mogło być żadnej apelacji — dyrektor zapowiedział raz, że nie życzy sobie — i koniec!

A cóż to stało się dziś?

Dziś wcześnie rano została zawezwana przed oblicze dyrektora Ela, młoda osoba najmowana do sprzątania biur. Konferował z nią długo. Przyprowadzenie do prowizorycznego bodaj porządku apartamentu dyrekcji zajęło jej całe przedpołudnie. Choć z początku dyrektor sam wskazywał Eli największe zagęszczenia pajęczyn i najobfitsze pokłady kurzu wśród książek — pod koniec zniecierpliwiony starał się gorączkowo, prędko wyprawić ją z pokoju. Patrzał przy tym z niepokojem na zegarek i nerwowo poprawiał krawat.

To wszystko było wielce tajemnicze i nasuwało mnóstwo tematu do plotek i najbardziej fantastycznych interpretacji w gronie tak dobranym, wścibskim i chętnym do dyskusji, jak personel dyrektora!...

Najwspanialszą i najciekawszą zagadkę stanowiła sama osoba dyrektora wyglądającego dziś zupełnie inaczej, choć był to zwykły dzień tygodnia i nie groziła żadna inspekcja. Wszystkie trzy kobietki przyznać musiały, że nowe, popielate ubranie leżało na dyrektorze jak ulane, a jaskrawa krawatka bardzo dobrze była do niego dobrana. Czuprynę miał w idealnym porządku, mankiety koszuli nieskażenie białe i... w klapie surduta tkwił biały goździk, jeden z wielkiej wiązanki włożonej przez niego samego do flakona na biurku!...

Urodziny żony?...

Nigdy przecież nie obchodził jej święta tak uroczyście! Choć doprawdy była tego godna! Czy w ogóle ją kochał?

Panny biurowe miały dyrektorowi za złe jego oziębły, dość oschły stosunek do żony. Była taka przecież ładna, pełna świeżości, werwy, humoru! Była w biurze tylko raz i przerażona jego wnętrzem zarządziła zmiany, a przede wszystkim częstsze wizyty Eli z szczotką i ścierką. Dąsał się o to na nią, w każdym razie nie powiedział nic przyjemnego, bo nigdy więcej nie pokazywała się w biurze.

Skandal, jak on na nią mało zwracał uwagi!

Solidarnie łączyły się z żoną szefa we froncie przeciwko niemu — zjednoczone przez wspólny zawód i bezsilną wściekłość! Bo one także nie obchodziły go nic a nic! Wprost nie istniały dla niego jako pełne wdzięków i pragnień niewiasty! Były dlań wszystkie robotami obsługującymi maszyny do pisania! A były przecież kobiety, dla których zmieniał on urzędowy, szorstki ton, na cieplejszy, pełen serdeczności i ugrzecznienia. Były przecież kobiety, wobec których żenowały go wystrzępione mankiety marynarki, a nieład na biurku wprawiał w zakłopotanie!...

Więc imieniny żony nie! Cóż innego?

Na „bibę" pożegnalną mającą być urządzoną na pożegnanie Ludki było jeszcze dość czasu. Ludka ma odejść dopiero piętnastego, a zresztą szef specjalną sympatią jej nie darzył, a może nawet jej wypowiedzenie pracy jest mu raczej na rękę! Podobno rozgląda się już za następczynią! Ludka była jego sekretarką już coś ze trzy lata. Dziś jest jej trochę smutno, gdy pomyśli, że niedługo odejdzie stąd...

Teraz chce wmówić wszystkim i w samą siebie, że te wszystkie zmiany mają na celu osłodzić jej ostatnie dnie spędzane w tych ścianach! I dla niej te goździki!

Nie wszystkim jednak zdaje się to tłomaczenie zadawalającym. Ogólnie uważa się, że w tym wszystkim musi być „coś" specjalnego. To coś, to mała kartka zapełniona drobnym, maszynowym pismem.

Podobnych listów przeszło przez ręce dyrektora w ostatnich dniach całe mnóstwo. Wiele ofert nadeszło na jedno ogłoszenie w gazecie: „Szukam sekretarki"... opiewał jego nagłówek wielkimi trzcionkami. W dalszych wierszach były warunki stawiane ewentualnym kandydatkom. A więc: znajomość języków, stenografii, maszynopisma i... uroda! Gdyby nie wyglądało to śmiesznie, dyrektor kazałby te wiersze wybić również tłustym drukiem!

Niech jego sekretarka będzie raz wreszcie młoda i ładna! Ludka odchodzi. Ludka była siłą pierwszorzędną, i rutynowaną jak rzadko! Cóż z tego, kiedy miała kompromitująco krzywe nogi i włosy takie nieładne, staroświecko zaczesane! A Hela miała już dobrze po trzydziestce. Maria ubierała się bez smaku i nigdy nie pudrowała wydatnego nosa! Nawet ta Ela od sprzątania była taka pospolita! Jakby się zmówiły! Otoczenie ma czysto kobiece, a ani jednej ładnej, czy choćby tylko sympatycznej!...

Nie, o żonie nie mógł tego powiedzieć! Renia była doprawdy ładna! Ale była blondynką jakich wiele i jej uroda mogła się prędko znudzić.

Co innego brunetki!... A właśnie ta osóbka, która pisała tę ofertę jest brunetką!...

Nie rozpisywała się wiele nad swoimi kwalifikacjami. Rezolutnie zapewniała, że brak umiejętności wyrównać można praktyką pod stosownym kierownictwem! Napisała natomiast, że jest nieprzeciętnie ładna, zgrabna, że przypomina jedną ze słynnych gwiazd filmowych! Nie załączyła fotografii — ale mimo to Jachimowski widział ją już przed oczyma:

To właśnie będzie kobieta, o której marzył, z ognistym temperamentem, z brawurą życiową!...

...Czy aby biuro jego nie wyda się jej zbyt ciasnym, małym, brzydkim, a panny biurowe ograniczonymi? A co pomyśli o nim samym?

Przypuszczał, że w tym wypadku włożenie świeżej koszuli i nowego garnituru może rzeczywiście dodać mu szans.

A gaża? Jakie dochody jej zaproponować? Czy wystarczą jego pobory na opłacenie tak kosztownej pomocy do biura? Bo bezsprzecznie zechce mieć więcej niż Hela stenotypistka i Maria praktykantka.

Już ją widział uśmiechniętą zalotnie, uwodzicielsko z nóżkami odsłoniętymi kusząco po kolana!...

...Że nie będzie biegle stenografować? Więc Maria zastąpi ją czasowo... A ona? Ona witać go będzie pieszczotą uśmiechu i jasnego spojrzenia, ozdobą będzie i słonkiem tych ponurych, zimnych ścian, będzie reprezentować firmę. Nie będzie mu wstyd pokazać się z taką sekretarką!...

Czekał niecierpliwie, bo oznaczyła swe przybycie na 3-cią a powinna być punktualna!... Ale, że piękne kobiety lubią się spóźniać!...

Nerwowo wygładzał grzbiety książek na półkach, strzepywał niewidoczne pyłki z foteli. Wciąż wiązanka kwiatów zdawała mu się zbyt pospolicie, brzydko ułożona.

I wreszcie zobaczył ją na dziedzińcu, jak szła szybko, pewnie.

Co za królewskie ruchy! Takie, jakie właśnie powinna była mieć. Taką, a nie inną jej sylwetkę widział w swojej wyobraźni. Z jakim szykiem ubrana! Choć... czy brunetce może być do twarzy w seledynowym? Raczej blondynie... I w tym momencie żałował niemal, że nowa jego sekretarka nie będzie blondyną. Ciemny włos może tu zepsuć harmonię.

Nim zobaczył ją z bliska, obserwował przez uchylone drzwi, jak rozmawiała z woźnym. Ocenił odrazu jej figurę. Od szczupłych, prężnych nóg nie mógł oderwać wzroku. Zauważył, jak piękne ręce ma ta kobieta.

Chwilę przedtem, zanim ujrzał jej twarz wyraźnie odgadł, że się uśmiechała.

Podniósł się spoza biurka z najżyczliwszym ze swych gestów. Poczuł potem, że rysy zastygają mu w jakimś dziwacznym grymasie, czy skurczu, a oczy wychodzą wprost z orbity:

Kobieta, która stała przed nim była zaiste piękna i na ustach miała najbardziej ujmujący, trochę szelmowski uśmiech...

Ale to z całą pewnością nie była kobieta, na którą czekał — pomijając nawet to, że nie była brunetką!...

Teraz nie mógł już mieć najmniejszej wątpliwości i teraz dopiero... poznał!...

Co to było, że nie poznał jej odrazu, gdy widział idącą przez dziedziniec i potem z oddalenia paru metrów zaledwie?!...

To była przecież jego żona! Jego Renia, którą od lat znał tak dobrze i był pewien, że w każdej okoliczności rozpoznałby ją wśród całych nawet tuzinów podobnych!...

— Co ty tu robisz, Reniu? Nigdy nie miałaś zwyczaju przychodzić... —

— Witasz mnie tak dziwnie... Czyś może oczekiwał kogoś innego? A ja myślałam, że zrobię ci przyjemność, gdy przyjdę tak niespodziewanie ubrana w ten nowy kostium...

— No... tak... ale... A gdzie to wybierasz się tak elegancko ubrana?

— Mam umówione spotkanie... (co za szelmowski, denerwujący uśmiech ma dziś ta Renia, zwykle tak nużąca i nieciekawa!?...) No, a po drodze wstąpiłam... Zupełnie tutaj inaczej wygląda niż wtedy, gdy byłam po raz ostatni. Pozwolisz?

Spokojnie zapala papierosa, jednego z tych luksusowej marki przygotowanych dla nowej sekretarki. Siada w miękkim klubie specjalnie przysuniętym do biurka, żeby tamta...

Jest już po trzeciej. Lada chwila zamelduje się oczekiwana sekretarka. Z miejsca rozczaruje się i zrazi. Zastanie w biurze żonę szefa zdającą się być tu swobodną, zadomowioną jak u siebie!...

Jachimowski bardzo nie chciał tej konfrontacji!

Tym więcej, że... Jakże bladą i bez wyrazu zdawać mu się będzie musiała wymarzona uroda tamtej w porównaniu z Renią!... Że właśnie Renia dziś specjalnie wygląda tak niewiarygodnie świeżo i ślicznie!... choćby tamta była nawet najbardziej płomienną brunetą, to przy Reni!... I w tej chwili zrozumiał, że jednak zawsze będzie miał słabość tylko do blondynek...

Czemu ta Renia patrzy tak denerwująco?... I z kim ona właściwie ma się spotkać?... Choć każde z małżeństwa ma wolną rękę... Co do tego umówili się już dość dawno... Ale po co o tym tak drażniąco otwarcie mówi mężowi w chwili, gdy w nowym kostiumie wygląda bajecznie i tak miło utryzowała główkę?...

— Nie wiedziałam, że ubierasz się do biura w ten najnowszy garnitur! Nie chcesz wkładać go, gdy idziemy na wizytę, a tak na codzień niszczysz go przy pracy?...

...Dlaczego ta Renia nie idzie jeszcze? Po co ma zastać ją tu tamta? A Renia jak zawsze będzie miała jej coś do zarzucenia, że nogi ma takie... a ręce nie bardzo... a, że cera. Dziś Reni samej nie można nic powiedzieć... Na pewno nie pochwali wyboru jego, co do nowej sekretarki!... Jaka ona dziś ładna...

Czyżby dziś dopiero zauważył, że ma piękną żonę?...

— Odkąd to lubisz kwiaty? Takie piękne goździki!... Cóż za zmiany u ciebie szalone!...

No, z chwilą, gdy tamta wejdzie, Renia domyśli się od razu wszystkiego... I nawet dośpiewa sobie wiele co już nie będzie prawdą! Pomyśli, że znają się już od dawna, że to szukanie sekretarki, to tylko wyrachowanie, pozór...

Dyrektor Jachimowski z pięknym goździkiem w butonierce miał minę co najmniej nieszczęliśwą. Podglądając przez dziurkę od klucza panny biurowe miały moc materiału do komentarzy.

...Najbardziej irytujące to jest to rendez vous Reni! Z kim? Gdzie? Żeby ją tu móc zatrzymać!! Jaką miałby ochotę zrobić jej małżeńską scenę zazdrości!... Ale gdyby tak weszła w tym momencie tamta? Jakby to wszystko razem wyglądało?: Mąż zazdrosny o żonę, a wyczekujący na inną piękną kobietę!? Och, żeby choć cofnąć móc to nieszczęsne ogłoszenie! Żeby ta oferta nie była prawdziwa i tak niedwuznaczna!...

Kobieta przysunęła fotel bliżej biurka. Owionął go dyskretny zapach dobrej wody kwiatowej.

— Przyznaj się, że kogoś oczekiwałeś... Jakąś kobietę...?

Czuł się jak niesforny uczniak przy inspekcji. Jego oczy błagały o wybaczenie i wyrozumiałość gdy powiedział niepewnie, w formie usprawiedliwienia:

— Szukam sekretarki...

— Znalazłeś ją już... przyszłam w umówionym czasie... Chyba nie będzie ci tak znowu bardzo przykro znosić tu moją obecność codziennie przez parę godzin? Przecież tu zawsze może być tak porządnie, ładnie, miło... nie tylko wtedy, gdy szukasz nowej sekretarki, prawda? Umiem trochę stenografować i ciągle pilnie ćwiczę na maszynie. Po parotygodniowej praktyce będziesz miał ze mnie prawdziwą wyrękę. Pisałam ci zresztą o tym. Skłamałam tylko w jednym: że jestem brunetką!...

M. Dalborówna

Mój październik

...już uleciała miłość moja — anioł smutny
spłoszony Prawdą jak śmiertelnym grzechem...
Prysnęły wszystkie struny mojej lutni,
gdy pierwsze dźwięki poigrały z echem!

— — — nie przyszły moje wymarzone żniwa:
hula jesienny wichr po pustej stodole — — —
a przecież siejąc byłam tak szczęśliwa
i w sto rąk plony myślałam, że zbiorę!!

I oto ciężko wlokę się po rżyskach
a myśli moje jak liście powiędły!
żadne mi światło poprzez mgły nie błyska
i choć chcę naprzód iść, nie wiem którędy?!

Naoślep idę więc (byle wyjść z matni)
pustym zagonem zgrudziałym i twardym.
W piersi mi szumi płacz — ale ostatni —
bez łez i szlochań: wzgardliwy i hardy.

Kogo zawołać w żalu przeogromie?!?
Pod stopą ruda trawa mi zaszuści
jedynym echem. — Bóg zapomniał o mnie:
bezbrzeżnie samą w polach mnie opuścił?...

M. A. Hessel

PRZEPIS NA ROMANS KRYMINALNY

Przede wszystkim trzeba znaleźć t. zw. „czarny charakter"! Nie trudna w zasadzie to sprawa — po prostu wychodzi się na ulicę i przypatruje się twarzom przechodniów.

Więc idę... idę... idę... a tu nic — same uczciwe gęby. Nagle zza węgła muru wychyla się jakaś ponura postać. Czarna, długa broda, równie czarne jak węgiel oczy — ubranie w łachmanach.

— Proszę 5 groszy! — dobiega mię głos.

— Panie! — mówię — dam panu 10 złotych, jeśli się pan zgodzi pójść ze mną do domu i „pozować" do kryminalnej powieści.

Przyszedł. Odrazu zasiadł za stołem w jadalni i zjadł cały bochenek chleba z przynajmniej półfuntem masła, potem dobrał się do moich papierosów, paląc jednego za drugim.

Kiedy tak patrzyłem na niego — wpadła mi do głowy myśl, że potrzebna mi jeszcze bohaterka. Dzwonię więc do mojej koleżanki z lat dziecinnych Lusi — przyszła natychmiast. Naturalnie, że kiedy zobaczyła tajemniczego typa — przerażenie jej i zdumienie nie miało granic.

— Cyt! — szepnąłem — musisz się przygotować, bo będę pisał kryminalną powieść.

Lusia zrobiła zdziwioną minkę, a ja poszedłem po detektywa. Spotkałem go na ulicy, był to zresztą mój przyjaciel, trudniący się odnajdywaniem zaginionych zwierząt, a ponieważ nie miał właśnie pieniędzy, więc propozycję moją przyjął chętnie.

Gdy jednak znalazł się w pokoju natychmiast usiadł przy Lusi i zaczął na zabój z nią flirtować.

Ja zaś zagłębiłem się w fotelu i obmyślałem szkic sytuacyjny. W parę godzin plan był gotowy. Tylko jedno — potrzebny mi był rewolwer. Po kwadransie przecie zastanowienia — doszedłem do wniosku, że rewolwer można zastąpić dwiema pokrywkami.

— No więc zaczynamy!

Lusia niby leży na tapczanie i niby śpi. W sypialni mrok. W pewnym momencie wysyłam mój „czarny charakter", aby wlazł przez okno do jej pokoju.

Detektyw ma w owym właśnie czasie przechodzić ulicą. Potem mord, tłum i akcja jakoś się nawiąże...

Udałem się na drugą stronę ulicy — stanąłem i patrzę.

Zza rogu muru wychyla się rzeczywiście bandyta. Skrada się... W jego dłoniach lśnią zamiast oksydowanej lufy browninga dwie pokrywki. Podpełza pod okno, powoli zaczyna się wspinać. Zaś tam w poprzek jezdni kroczy wolno z fajką w zębach detektyw.

Akcja nabiera tempa.

Bandyta włazi na okno, ale w tej chwili nadjeżdża auto policyjne i dwóch umundurowanych stróżów bezpieczeństwa wyskakuje na chodnik.

— Stój! — rozlega się ostry krzyk.

Brzękła rozbita szyba. Bandyta sądząc, że to inscenizacja począł walić w pokrywki. Przerażona Lusia wybiegła do okna, wrzeszcząc wniebogłosy.

Zdumiony świetną kompozycją widowiska — detektyw wpadł między policjantów z wydobytym browningiem. Wszczęła się nieopisana wrzawa. Gwizdki policyjne wyły na alarm.

Lusia dostała spazmów. Detektyw zwiał. Wokół zebrał się nieprzejrzany tłum.

— — — — — — — — —

Obecnie siedzę z moim bandytą w areszcie i piszę powieść fantastyczną. Tylko nie wiem jak zacząć. Rzecz bowiem ma dziać się w międzyplanetarnych szlakach, a ja w żaden sposób nie mogę się tam dostać, aby urządzić sobie plan sytuacyjny.

Jerzy Eglicz



Ciekawe! Nic nie mogę znaleźć! A byłem przekonany, że gdym tędy przechodził, jeden ziemniak wleciał za dekolt.
(Münchner Illustrierte Presse)

PAPA i ZAD

Gdy miałem cztery latka, to byłem mały pyłek.
Raz zapytałem tatka: — „Tatko, co to jest tyłek?".
A tato: — „Nie wiedziałem, że mam takiego głupka!
Tyłek to pupka". — „A pupka?". A tato blady:
— „Pupka to pośladek!". — „A pośladek?" A tato [w rękę bat
I — w zad!...
Gdy miałem cztery latka, to na mnie wszyscy huzia!
Więc znów spytałem tatka: — „Tatko, co to jest [buzia?".
Tato rzekł:—„Czy ty mi spokój dasz? Buzia to twarz".
— „A co to twarz?". — „Lice!". — „A lice?" — [„Oblicze!".
— „A oblicze?". A tato zawył jak horda: — „Oblicze [to morrrda!!!".
— „A co to morda?". Tato nie mógł tchu złapać
I wykrztusił: — „Kłapacz...". — „A kłapacz?".
— „Kłapacz to papa!!!". — „A papa?". A papa bęc [mnie w papę
I wiem co to papa...
Z tego morał się wywodzi, że za dużo pytać — szkodzi...



Przed chwilą pani szukała swych okularów, proszę oto one, właśnie znalazłem je tu, między mymi listami. (Die Woche)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Odradzasz mi więc poślubienie Jerzego?

— Nawet stanowczo.

— Ależ on jest takim miłym człowiekiem, zarabia nieźle i prócz tego ja go kocham.

— Wszystko to prawda, ale ja się z nim wczoraj zaręczyłam.

Spacer. On i ona, albo ona i on. Nad nimi przelatuje ptaszek. Źle widać wychowany, bo oto z powietrza spada coś jej na ramię.

— Fe! — woła ona — czy nie masz przy sobie papieru?

— Mam — odpowiada domyślny młodzieniec — ale przecież nie mogę go dogonić tam w powietrzu.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY Nr. 18 (49)

A. DZIAŁ ZĄDAŃ

3-chodówka Nr. 18 (49).
G. H. Drese (»Tijdschr. v. d. Nederl. Sch.« 1935).
Czarne Kd5, Se3 g3, piony: d4, e7, f7. (6)
Białe: Ka5, Wc6, Gb5 f6, Sd8 d6, piony: f2, f5. (8).
3-chodówka. 8 + 6 = 14.
Mat w 3 posunięciach.
Końcówka (studium) Nr. 18 (49).
K. A. L. Kubbel (Nr. 138 zbioru).
Czarne: Kd5, Gd8 g4, piony: c3, c6, e5. (6).
Białe: Kd3, piony: b6, c5, c2, e3, e6, g6. (7).
Końcówka. (+) 7 + 6 = 13.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 17 (48) (Kranjc): 1. W—c7 (grozi 2. W—c4† H (G) —d4 3. S—d2×.) I.. 1... H—a5 2. S—c5† i 3. ×. II. 1... G—c3 2. W—c4† i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 17 (48) (Rinck): 1. W—a5 (A) K—b6! 2. W×h8 (B) W—a1† W—c4 3. K—b3) 3. K—b4 W—b1† (C) 4. K—c3 K×a5 (D) 5. W—a8† (E) dowol. 6. W—b8† i wygr.

(A) 1. W×h8? W—a1† 2. K—b4 W—b1† 3. K—c4 W—c1† lub W×W remis.

(B) 2. W—b5† K—c6! 3. W×W (W—a6 K—c7 d7) W—a1† 4. K—b4 W—b1† 5. K—c4 W—c1†! remis.

(C) 3... W×W 4. W—h6†.

(D) 4. K—a3? W—a1† 5. K—b4 W—b1† 6. K—c4 W—c1† 7. K—b4 (K inaczej W×W) W—b1† 8. K—c3.

(E) 4... W—c1† 5. K—d2 b2.

PARTIA Nr. 88 (90).

Białe: Seidmann Czarne: Mrazek

grana w Czechosłowacji w turnieju w r. 1936.

Obrona francuska.

1.	e4	e6	11.	H—f4	G—e7(3)
2.	d4	d5	12.	h4	a6
3.	S—c3	S—f6	13.	S—g5	G×g5(4)
4.	G—g5	G—e7	14.	h×g5	b5
5.	G×f6	G×f6	15.	W—d3	W—a7
6.	e5	G—e7	16.	Wd—h3	G—c6
7.	H—g4	g6?(1)	17.	W×h7	W—f8(5)
8.	S—f3(2)	c5	18.	G—d3	d4
9.	d×c5	G×c5	19.	W—h8!	S—d7(6)
10.	0—0—0	G—d7	20.	H×f7†!!	Czarne poddały się.

UWAGI:

(1) Najlepiej było roszować.

(2) Dobrym było też: 8. h4 h5 9. H—f4.

(3) Po 11... a6 12. S—g5 H—e7 mogłoby już nastąpić: 13. W×d5! podobnie jak w partii Richter-Vajda (Olimp. w Pradze 1931).

(4) Także i przy 13... 0—0 musiałby atak białych przeniknąć.

(5) Przy 17... W×h7 18. W×h7 H—e7 19. G—d3 białe rozporządzałyby rozstrzygającymi groźbami.

(6) Także i inne posunięcia nie mogłyby powstrzymać przegranej. Teraz następuje efektowne zakończenie partii.



Po urlopie: — Do reszty opali mnie lampa kwarcowa.
(Das Illustrierte Blatt)

EKSPLOATACJA GŁUCHYCH DZIADKÓW

Dziadunio jest idiota, trzęsący się, siwawy,
Troszeczkę nie dowidzi i przy tym jest głuchawy.

Babunia jest kretynka, wiecznie kaszląca, sucha,
Też troszkę nie dowidzi i też jest przy tym głucha.

A wnuczek jest poetą i pisze wiersze gładko
I przy pisaniu, jucha, eksploatuje dziadków.

Bo jak mu trzeba rymów do swoich poematów,
To idzie do staruszków i mówi na temat-ów:

— Dziadkowie, dziś was kazał pozdrowić ksiądz ka- [nonik.
— Wazonik??? — pyta dziadek. A babcia: — Co, [flakonik???

— Stwierdzam, że babcia głucha i dziadzio też nie [słyszy.
— Od jakich towarzyszy!!!??? — Kto, mówisz, łowi [myszy!!!???

A wnuczek uśmiechnięty: — Musicie lepiej słuchać!
— Dmuchać!!! — dziadunio woła. A babcia: — My [— i gruchać!!!???

— Jesteście pożyteczni. Dziękuję wam za rymy!
— Ręczymy!!! — krzyczy dziadek. A babcia: — Wy- [wietrzymy!!!

I dziwić się poecie, że tak rymuje gładko —
To nie jest żadna sztuka, gdy ktoś ma głuchych dziad- [ków.

Eugeniusz Kol.



Zemsta rywala.
(Das Illustrierte Blatt)

UWAGA! FOTOAMATORZY!



KISZONE OGÓRKI

Doskonale podchwycone i o jednolitym motywie zdjęcie. Wykonał p. Maś Bolesław z Dąbrowy koło Rzeszowa. Aparat Welti, przysłona 8, czas naświetlenia 1/100 sek.



„CIELĄTKA"

Umiejętna kompozycja i wesoły temat. Nadesłała p. Kępińska Lona z Krakowa. Aparat Retina, przysłona 6, czas naświetlania 1/100 sek.



KRÓLOWO
RÓŻAŃCA ŚWIĘTEGO,
MÓDL SIĘ ZA NAMI

Fot.: Borek